Niezła balanga

...Nie opowiadałam wam przypadkiem o moim Pierwszym Wielkim kacu? Niezła historia, z morałem. Co mówicie? Nie, oczywiście że nie zamierzam was pouczać. Morał jest tylko jeden - wszystko jest dobre z umiarem. I każdy powinien wiedzieć, czego nie powinien pić.

Tak więc, zaczęło się wszystko od tego, że szłam długim korytarzem akademika. Czułam się melancholijnie, życie wydawało się szare i nikczemne, nic mnie nie cieszyło. Powrót do pokoju nie wchodził w grę - mieszkała tam moja przyjaciółka, która w tym momencie znajdowała się w krańcowo pozytywnym nastroju - zakochała się, przy czym z wzajemnością. A ja nie miałam najmniejszej ochoty patrzeć na jej lśniącą twarz, szczególnie że sama odczuwałam pełnie paskudności życia.

Trzeba było coś robić. Potrząsnęłam sakiewką. Brzęknęło parę monet - tych, co wydzieliłam sobie na te tydzień. Do stypendium zostawały jeszcze dwa. Na horyzoncie nie majaczyły żadne inne wpływy finansowe. Brud, smród i korniki.

"Ola, otrząśnij się, - próbowałam przekonać samą siebie. - W końcu jesteś prawie magiem-teoretykiem, nie powinnaś tonąć w depresji, kochanie!"

Autotrening nie pomógł.

Monetki zabrzęczały radośnie i zapraszająco. Ostatnio prześladowała mnie myśl, że mistrzowie specjalnie rzucają na monety stypendium zaklęcie, by zapraszająco brzęczały, popychając studentów do wydatków. I tak mogliśmy je wydać tylko w kompleksie uniwersyteckim albo na terytorium kontrolowanym przez profesorów (oj, to wy nie wiecie że wszystkie pobliskie knajpy należą do dziekanów i innych Wyższych magów albo, jeżeli ktoś uważa że posiadanie knajpy jest poniżej Profesorskiej godności, do ich krewnych?). Całkiem nieźle się urządzili - Uniwersytet nauk magicznych zwraca sobie całość wypłacanego stypendium, czasem nawet z procentami (jeśli rodzice się akurat czują hojnie i podrzucą komuś parę srebrników). Tego szczególnie wrednego miedziaka z odgryzionym brzegiem widzę już czwarty raz. I jak ona kocha się wydawać!

No cóż, w takim razie zostaje jedno wyjście.

Postanowiłam zdać się na los i poszłam gdzie nogi niosą. One kroczyły tylko w kierunku knajp, ale trzeba było jeszcze wybrać, w którym studentka drugiego roku Uniwersytetu nauk magicznych Olgerda Liaha zostawi swój tygodniowy budżet.

Co, zachwyca was moje pełne imię? Proszę, nie trzeba! Nienawidzę go. Tak, właśnie ponieważ tak zwano wielu bohaterów przeszłości. I tak, nie cierpię tej idiotki Gerdy, która rzuciła się za swoim niewiernym ukochanym przez pół świata. Facet wolał doświadczenie od młodości, no i kij z nim, szukaj innego. Nie, koniecznie trzeba było cierpieć, męczyć się, walczyć o niego z tą trzecią (której, tak właściwie, ja osobiście współczuję - biedactwo miało ostatnią szansę jakoś urządzić sobie życie osobiste).

Wiem, wiem, jest taki wielki bohater Olgierd, który zwyciężył kupę wrogów, dał naszemu krajowi wolność i napłodził kupę bękartów. No ale ja nie jestem przedstawicielem męskiej heroicznej płci.

W sumie, osiemnaście lat temu moi rodzice, jeszcze owiani romantyzmem młodości i gwałtowną żądzą, uszczęśliwili w ten sposób swoje pierwsze dziecko. Moje młodsze rodzeństwo ma prostsze imiona.

Proszę wybaczyć tak długi monolog - jestem w paskudnym nastroju...

No to szłam, i szłam, i trafiłam na wspaniałą knajpkę, maleńka, hałaśliwą, z tłumami ludzi. Akurat to co trzeba dla poprawy nastroju. Może nawet się załapię na jakąś bójkę.

Po sekundzie spędzonej w środku zrozumiałam, że powietrza tam nie ma - dym nie to nawet że się kłębił, można go było ciąć jak ciasto weselne. Wyglądało na to, że to miejsce ukochali sobie studenci z wydziału Rzemiosł magicznych, większość których jest krasnoludami. A czym jest krasnolud bez fajki? To albo krasnolud-niemowlę albo młoda krasnoludka. Mówią, że ich się nawet chowa z ukochaną fajką w zębach i zapasową w kieszeni.

Zamówiłam pół litra piwa imbirowego u melancholijnego krasnoluda za kontuarem, i dosiadłam się do stolika samotnego krasnoluda z poczochraną grzywą niebieskawo-czarnych włosów. On obrzucił mnie pełnym tęsknoty spojrzeniem i nic nie powiedział.

Chyba mój sąsiad też był w dołku - zwykle spinają włosy srebrnymi klamrami, a brodę zaplatają w warkocze.

- Życie jest do kitu - wygłosił krasnolud po dłuższym milczeniu podczas którego każde z nas pogrążone było we własnych smutkach.

Zgodziłam się.

Trąciliśmy się kuflami i wypiliśmy.

Krasnolud dolał do mojego kufla czegoś z własnej butli, rozcieńczając resztki piwa. Oj, mam nadzieję, że nie wódki, bo nie powinnam się upijać, robię się zbyt wesoła i rozrabiam.

- I jak uczciwy krasnolud może żyć w takich warunkach? - z namaszczeniem spytał krasnolud.

Niewyraźnie wzruszyłam ramionami, wąchając zawartość swojego kufla.

Krasnolud pomilczał chwilę, robiąc wielkie łyki ze swojego gigantycznego kufla, i nagle entuzjastycznie wrzasnął:

- Wypijmy za to, by wszyscy ci, co życzą nam źle, zdechli w straszliwym męczarniach!

Toast mi się zdecydowanie spodobał, więc wypiłam. I, jakie dobre! Płynny ogień mający posmak imbiru przebił się do mojego żołądku, zostawiając po sobie posmak przypraw. A jednak wódka!

Po jeszcze kilku tostach tego typu, treść których zawierała opisy męczarni krasnoludzkich nieprzyjaciół, zamówienia jeszcze imbirowego piwa i wódki dla zmieszania, pomiędzy nami wywiązała się aktywna rozmowa. Dowiedziałam się, że ostatnimi czasy krasnoludowi krasnoludowi nie dają żyć jacyś dranie.

- Matka mnie tak wychowała, że nie powinienem się nikomu skarżyć jak nie daję rady sam. W zasadzie to wszystko jest drobiazgiem, ale jak paskudnie, jak smutno! - tłumaczył mi krasnolud, waląc kuflem o stół.

Widać było, że duma młodego krasnoluda została poważnie zraniona - samemu nie starczało mu sił (i to raczej moralnych) na poradzenie sobie z napastnikami, a uczucie "już sam jestem dorosły" nie pozwalało poskarżyć się starszym współplemieńcom.

- Jeszcze pić! - zażądał krasnolud.

Melancholijny barman nawet nie drgnął, ale ktoś przy sąsiednim stoliku zauważył:

- Otto, ty i twoja dama macie już dosyć.

- Niech wam będzie - obraził się gnom, niezdarnie gramoląc się zza stołu. - Idziesz?

Skinęłam, chociaż wcale nie byłam pewna, że uda mi się zrobić nawet parę kroków. Musiałam sobie przypomnieć, że w końcu jestem studentem-teoretykiem, wytężyć się i prawidłowo wymówić formułą oczyszczenia krwi od alkoholu. W głowie zadzwoniło, a w ciele pojawiła się niesamowita lekkość i radość. Chciałam wypić jeszcze.

Na to zaklęcie trafiłam przypadkiem w bibliotece podczas tej sesji?i postanowiłam zapamiętać - a nuż! Cały pierwszy kurs teoretycy mieszkają jak w kazarmie, ucząc się całej masy zaklęć, podstaw najrozmaitszych nauk, praktyk i rzemiosł. Teoretycy nie są magami-praktykami, którzy walczą z nieżycią i wszelakimi przeciwnikami; to nie uzdrowiciele (wiadomo czym się zajmują); nie rzemieślnicy, zajmujący się wykonywaniem artefaktów, broni i urządzeń magicznych; i już na pewno nie prorocy i nie sędziowie. Teoretycy powinni wiedzieć coś o wszystkim, jesteśmy tymi, kto pcha magię do przodu, badając i wprowadzając do użytku nową wiedzę, tymi, kto nie pozwala magii zapomnieć tego, co zostało już wypracowane, trzymając solidny fundament ogromnej wiedzy magicznej. Niektórzy teoretycy pracują jeszcze jako translatorzy magii, kierując potoki Energii w potrzebne łożyska. Podczas pierwszego roku jest największy odsiew, a potem mistrzowie po prostu wymuszają pełne zrozumienie i pamiętanie otrzymanej wiedzy.

O, teraz mnie pociągnęło na filozofię. Efekt "porozmawiamy?" był stałym działaniem ubocznym wytrzeźwiającego zaklęcia (ale uprzedzam, to tylko u mnie, u was może wywołać inny efekt!) - ono nie uwalniało od alkoholu całkowicie, i zjadało przy tym wszystkim masę sił.

Ja i Otto zataczaliśmy się wzdłuż ulic, aż trafiliśmy do knajpy "Pij więcej". Wyglądało na to, że właściciel odniósł się do nazwy knajpy pragmatycznie, ziszczając w niej marzenia zarówno pijących jak i sprzedawców napitków.

- Wiesz co, dobrze wymyśliłaś mieszać wódkę i piwo imbirowe - z namysłem zauważył Otto, przeliczając pozostałe pieniądze.

- To ty wymyśliłeś, - zaprzeczyłam ze smutkiem

Ne, trzeźwienie stanowczo nie było dobrym pomysłem - zapas energii się znacznie zmniejszył, a depresja atakowała z nowymi siłami.

- Nie smuć się - pokrzepiająco stwierdził krasnolud - Zaraz będzie nam wesoło.

Popatrzyliśmy na ceny. Hurra, knajpa z tych tańszych, można świętować! Co prawda to towarzystwo! Mamusiu kochana! W sensie - ja to dobrze, mamusiu, że nie widzisz, w jakich miejscach spędza czas twoja najstarsza córka.

On zamówił mielonej kawy, wódki i soku z jagód.

Bardzo pożyteczna rzecz, i witaminy, i rześkość - dywagował Otto, mieszając to wszystko razem. - Ludzie nie umieją robić przyzwoitych koktajli, i dlatego psują swoje zdrowie. No, zdrówko.

Wypiłam Było smaczne, gorzkawo-kwaśne. Faktycznie orzeźwia. Po zakończeniu napoju nagle zrozumiałam, że krasnolud mnie obraził - powiedział że ludzie nie umieją robić koktajli!

Wytrząsnęłam ostatnie monetki i poczęstowałam kompana Krwawą Mary. Krasnolud uśmiechnął się z wyższością, ale wypił.

Potem był wściekle kwaśny koktajl cytrynowy.

Dalej wzięłam kredyt od właściciela. Cukier, słodkie czerwone wino, konfitury malinowe, nastój na truskawkach.

Dalsze wydarzenia gromadziły się w mojej głowie w jedną wielką plątaninę. Wiedziałam jedno - używam sobie. Coś z wypitego okazało się dla mnie katalizatorem magicznym - wszystko wewnątrz kipiało i żądało ujścia.

Acha, wypiliśmy jeszcze raz. Potem przyszli jacyś goście i najechali na Otto. Potem szłam do domu. Nie, najpierw wysłałam tych gości gdzie dalej przy pomocy całej posiadanej w zapasie energii magicznej. Goście sobie poszli, dosyć niezadowoleni. Potem szłam do domu. A raczej Otto robił za podpórkę dla mnie, bo bym daleko nie zaszła.

O, twarz maga dyżurnego. Chyba czyta mi jakieś morale, stary nudziarz. Oj, mdli mnie...

...Ból głowy wdarł się do mojego postrzegania świata nieoczekiwanie, jak cegła spadająca znikąd. Takie uczucie, jakbym cała składała się z jednej gigantycznej i bardzo bolącej głowy.

W resztkach mózgu kręciło się tylko jedno zdanie "trzeba mniej pić, pić trzeba mniej". Pogratuluj sobie, Ola, to pierwsza w twoim życiu Niezła balanga i kac.

Zmysły wracały powoli. Zrobiło mi się zimno. Potem zrozumiałam, że w ustach mam taki posmak, jakbym zjadła kocią toaletę (chociaż, nie za bardzo mam z czym porównywać, w życiu nie jadłam kocich toalet). Potem zmaterializowała się lewa ręka i noga z tegóż boku. Zdrętwiały, a do tego maszerowały po nich tłumy mrówek.

Zapach ogniska. Doskonale. Zaraz, skąd w moim pokoju ognisko? I czemu jest mi tak niewygodnie?

Musiałam otworzyć prawe oko. Lewe z uporem godnym lepszej sprawy otwierać się nie chciało.

Widok, który ukazał się moim oczom, mnie zszokował - majtająca nad ogniskiem para gołych pięt.

- Że co?! Wychrypiałam, rozumiejąc, że jest mi daleko do Białych myszek, i nie przypominając sobie, by w traktatach o pijaństwie było coś o Czerwonych piętach.

Duży palec prawej nogi podrapał lewą piętę. Ne, nie pięty, stopy.

- To przeciw komarom, - wyjaśnił głos z nieznanego źródła.

Sytuacja bynajmniej się nie wyjaśniła.

Wędzę je nad dymem, żeby komary nie gryzły - powiedział Otto - żyjesz?

- Nie jestem pewna.

W milczeniu przekazał mi flaszkę. Od zapachu alkoholu mnie zemdliło.

- Wstawaj i chodź się myć.

- Nie - odparłam. Było mi bardzo źle.

- Trzeba.

Pomyślałam chwilę.

- Otto, jest tu gdzieś moja torebka do pasa? Jakbyś mógł mi z niej wyciągnąć lusterko.

- Baby - mruknął Otto, dając mi lustro - jeszcze oczu nie zdążyła otworzyć, a już - lusterko.

Biedny chłopak! Nie wiedział, że lustro jest wielką siłą motywacyjną, która zadziałała i tym razem, wystarczyło bym zobaczyła chociaż jednym okiem moje zmaltretowane, opuchnięte i brudne oblicze z rozmazanym makijażem.

Przeklinając własną głupotę i brak umiaru w alkoholu, podniosłam się na czworaki. Potem, przy pomocy Otto, wyprostowałam się i ruszyłam w kierunku wody. Okolica powoli stawała się bardziej znajoma - to był Zakochany Gaj, niewielki lasek koło Uniwersytetu, w którym studenci większości placówek edukacyjnych miasta w praktyce opanowywali energetyczny potencjał miłości.

Bardzo chciało mi się pić. Głowa pękała. Czułam, że mózg wrzątkiem wycieka mi uszami, oczami, nosem i ustami. Do tego, całkiem zauważalnie się chwiałam.

- Otto - wyjęczałam. - Nie masz kaca czy co?

- Mam - poinformował krasnolud - Ale, po pierwsze, jestem bardziej odporny na alkohol, a po drugie, obudziłem się wcześniej niż ty, i nawet zdążyłem się opłukać w strumieniu, po trzecie, łyknąłem sobie trochę w ramach kuracji a ty odmówiłaś, a po czwarte, wczoraj się wyłożyłaś do końca, i będzie tobą trzęsło jeszcze przez parę dni.

Jedyne światełko nadziei zgasło (jak wiadomo, świadomość że kto inny ma gorzej przynosi ulgę).

- Idź się wykąp - poradził Otto.

Poczułam się skrępowana. Nie na długo. Zimna woda strumyka wabiła, rozpadający się arbuz mojej głowy żądał ulżenia. Olałam konwenanse (dobrze, że mama jest daleko!) i zaczęłam się rozbierać. Okazało się, że krasnolud nie był zainteresowany moimi kościstymi wdziękami, zapytał tylko czy sama dam radę wrócić, i udał się robić kawę.

Gdy wlokłam się z powrotem, ciesząc się że życie wraca do normy, i zacząwszy w końcu zauważać komarów, spotkałam Irgę. To mnie zatrzymało. Irgę często widywano w zgrai Blondyna, najpaskudniejszej istoty w całym Magicznym Uniwersytecie.

Blondyn Lim był synalkiem zastępcy głowy stolicy, faceta chytrego i podstępnego, jak wszyscy politycy. Po matce Lim odziedziczył malutki dar magiczny, i ojciec oddał syna na wydział Pytii i Sędzi, planując dla niego karierę polityczną. W wyniku czego młodzieniec był solą w oku wszystkich wykładowców, którzy nie mogli go wywalić (bo lepiej czy gorzej, ale się uczył, do tego płatnie), ani ukarać za znęcanie się nad innymi studentami (Blondyn był na tyle mądry, by nie dać się złapać na gorącym uczynku).

Lim zebrał sobie niewielki chórek, niezbyt silnych magów, przytakiwaczy i miłośników pańskich ochłapów. I z tym milutkim towarzystwem (nazywaliśmy ją watahą szakali) terroryzowali moralnie i magicznie słabszych studentów. Watahy się bano - jej przeważająca część, stoliczna złota młodzież, miała wysoko postawionych protektorów - i ją nienawidzono.

Dzięki wszystkim Żywiołom, teoretyków wataha prawie nie ruszała - ci z młodszych lat na początku rzadko pojawiali się na zewnątrz, a ci ze starszych byli tak wciągnięci przez swoje badania, że w ogóle mało co dookoła zauważali. Atakowano więc przeważnie tych z drugiego do czwartego roku. Na naszym roku mieliśmy jednego szakalika, który próbował nie pluć do studni od której odpisywał, więc nas los obiektów dokładnej uwagi watahy ominął. Chociaż parę razy słyszałam od ogonków Blondyna komentarze odnośnie mojego ubioru, nie udało im się mnie obrazić - daleko im do mojej konserwatywnej rodzicielki!!!

Irga, wysoki, sympatyczny, czarnowłosy gość z piątego roku, z tego co głosiły słuchy, całkiem utalentowany nekromanta, uśmiechnął się do mnie z ironią. Spróbowałam nie dać po sobie znać że go zauważyłam, i zamierzałam spokojnie przejść obok, gdy on nagle ukłonił się, i stwierdził:

- Twoje męstwo budzi mój zachwyt.

Zamarłam. Że to niby miała być nowa forma znęcania się?

Irga wyciągnął z powietrza karmazynową różę na długiej łodydze, i podał mi.

Opadła mi szczęka. Szakal się podejrzanie uśmiechał. Zamrugałam, mając nadzieję, że to widziadło kacowe, i nie wiedząc co by tu wymyślić, gdy nagle mój organizm wydarł się: "kawy!!!"

- Dziękuję, ale nie lubię róż, - ryknęłam, i rzuciłam się w kierunku z którego dochodził pociągający zapach tego doskonałego napoju (Otto jest cudotwórcą!).

Uspokoiwszy głowę i żołądek, opowiedziałam o Irdze i spytałam:

- Czegoś tu nie rozumiem?

- A raczej nie pamiętasz - uśmiechnął się Otto - pamiętasz tych gości których pogoniłaś?

- Jak przez mgłę.

- Tak myślałem. Słuchaj. Tylko nikomu - rozumiesz - nikomu nie powtarzaj.

Otto został dla watahy szakałów sezonowym obiektem szczucia. Poszło o to, że mój nowy znajomy był półkrasnoludem. Prawdopodobnie, gdzieś wewnątrz Otto mieszkało niezadowolenie ze swojego pochodzenia, i raz nacisnąwszy na odcisk wataha już nie chciała zostawić ofiary w spokoju.

Powoli gromadziła się w nim obraza i złość na samego siebie za brak umiejętności do stawienia agresorom dostojnego oporu. Obraza ta wylała się w depresję, w samym środku której nasze drogi się przecięły.

Po tym, jak zdrowo podnieśliśmy zawartość procentów w organizmie w "Pij więcej!", zjawiła się tam wataha Blondyna. Oczywiście, nie mogli przegapić takiej imprezy...

...Riak, najbliższy współpracownik Blondyna i jego najpoważniejszy argument siłowy, radośnie zakrzyknął na całą knajpę:

- Patrzcie, ten półkrasnoludzki wypierdek znalazło sobie ludzką dziewczynę! A co, krasnoludki cię nie chcą?

Otto zwyczajowo wciągnął głowę w ramiona, czując się koszmarnie. Po prostu nie władał językiem na tyle dobrze, by właściwie odgryźć się natrętowi. Nagle Ola, jego nowa znajoma, potrząsnęła włosami i poprosiła:

- Posadź mnie na stole.

Otto się zdziwił, ale pomógł jej wspiąć się na mocną dębową konstrukcję. Ola przeczyściła gardło i rzekła tak, że usłyszeli wszyscy klienci:

- Współobywatele! Widzicie tych młodych ludzi? No popatrzcie na nich! - Ola depnęła nogą w stół. - Zaraz będzie ciekawie.

Klienci, zaciekawieni darmowym przedstawieniem, zacichli, i odwrócili się w kierunku watahy. Właściciel knajpy wyćwiczonym ruchem aktywował amulet - Tarcza, zgadł Otto na podstawie ruchu zaklęcia - i również przygotował się do uważnego obserwowania, by skorzystać z możliwości delektowania się bójką, jak również obliczenia poczynionych szkód.

- Ci młodzieńcy połączyli się w watahę, - kontynuowała Ola dobrze postawionym głosem. - I krzywdzą słabych. Robią paskudne rzeczy. Strzelają, że tak powiem, zza rogu. Ola obrzuciła publikę oceniającym spojrzeniem. Zmieszana wataha milczała - Blondyna, mózgowego centrum, zabrakło, a Riak usilnie myślał: czy już należy walnąć impertynencką pannę w pysk, czy jeszcze nie? Klienci słuchali z zaciekawieniem. Ola rozpięła parę guzików na koszuli, wywołując ożywienie przy stolikach trolli i, robiąc przywołujący gest ręką w ich kierunku, stwierdziła:

- O, popatrzcie, tam siedzi dostojne towarzystwo! O możliwości być z nimi marzyła by każda dziewczyna. Ponieważ oni nie biją zza rofu!

- Irr, lider grupy trolli - najemnych morderców, który uważał cios w plecy zza rogu za najwłaściwszą rzecz na świecie, wyprostował się. Czuł się mile połechtany. Pulchna blondynka zza sąsiedniego stolika spojrzała na niego z zaciekawieniem, i za to, Irr, który nie śmiał nawet marzyć o takim szczęściu, gotów był zrobić wszystko dla panny na stole.

- Czemu niby jej słuchamy! - oburzył się ktoś z watahy. - Znam ją, to teoretyk z drugiego roku. Nic szczególnego, chodźcie czymś w nią walniemy.

Ola błyskawicznie odwróciła się, zachwiała (Otto zdążył przywrócić jej pion, zanim zaczęła spadać) i wydarła się:

- Gdy ja mówię, reszta milczy! - i rzuciła w watahę ładunek czystej Energii. Studentów rozrzuciło po knajpie. - Na czym to ja stanęłam? Aha, te podłe bydlaki krzywdzą mnie, małą bezbronną dziewczynkę!

Bywalcy milczeli, próbując powiązać ze sobą rozrzuconą watahę i "małą bezbronną dziewczynkę".

Ola rozeszła się na całego. Zniżywszy głos do poufałego szeptu, spytała publiczności:

- A wiecie, czemu krzywdzą słabych? - wszyscy z zaciekawieniem przesunęli się bliżej. - Bo dziewczyny ich nie lubią! To sami wiecie co szuka wyjścia.

- Trolle ryknęły śmiechem jako pierwsze. Ludzie trochę później, ale bardziej złośliwie. Osłaniając twarz, skromnie prychało kilka przypadkowo obecnych w tym pstrokatym towarzystwie elfów.

Riak podniósł się z podłogi i rzucił w Olę błyskawicami. Trzy odbiła Tarczą (i kiedy tylko zdążyła ją postawić?), zachwiała się, i ostatnia błyskawica przepaliła jej obszerną spódnicę. Ola ze smutkiem obejrzała dziurkę i krzyknęła:

- Kto pomści moją sponiewieraną spódnicę? Kto chce otrzymać darmowy kufel piwa?

Trolle, przepychając się, rzuciły się w kierunku watahy. Ta jakoś zebrała się w sobie, i odbiła pierwszy atak, a potem zaczęła się banalna przepychanka, w której, jak się okazało, chcieli wziąć udział wszyscy obecni. Nieporuszona Ola siedziała na stole i konsumowała piwo. Otto ciągnął ją za rękaw:

- Chodź, bo będziemy płacić za szkody.

- Nie mogę! - chlipnęła dziewczyna - Nogi mi nie chodzą. I mdli mnie.

- Otto westchnął i wziął ją na ręce...

- Potem zemdliło cię na Dyżurnego Maga, a twoja sąsiadka razem z kimś zajęła pokój. Zdecydowałem, że póki noce są jeszcze ciepłe, można się podelektować przyrodą.

Siedziałam, objąwszy głowę rękoma. Pode mną otwierała się przepaść - można było nie wątpić, że wataha się na mnie zemści. A do tego bałam się nawet wyobrazić sobie, co usłyszę w dziekanacie.

- Skończy się karą na dwa stypendia albo kilkoma tygodniami prac społecznych. Nie pierwszy raz dla Dyżurnego Maga, - wymówił nad moją głową czyjś głos.

Zerknęłam w bok i zobaczyłam Irgę.

- Przecież o tym myślałaś? - spytał on, niedbale machając różą. - Chciałem zapytać, jak zdążyłaś postawić Tarczę?

- Stawiam ją automatem, bardzo szybko, - wyjaśniłam pochmurnie. - Mieliśmy w Liceum nauczyciela z Zaklęć obronnych, który znał tylko to jedno zaklęcie. I przez rok wbijał w nasze głowy.

- I retoryki się uczyłaś w Liceum?

- Jakiej retoryki?

- Przecież zaczęłaś bitkę w knajpie wyłącznie siłą słowa.

- Po prostu wypiłam nie to co trzeba, i mnie poniosło.

- Wspaniale! - zachwycił się Irga - No więc, macie problem: co zrobić ze wściekłą na was watahą?

- A ty sam jesteś z nich, to czemu tu siedzisz? - ze złością zapytał Otto.

- Ja, szanowny panie, po prostu sprzedaję im moje usługi. Tak samo sprzedałbym wam, jakbyście mieli pieniądze i potrzebę.

- Nie mamy pieniędzy, spadaj.

- A ja nieodpłatnie. Byłem wczoraj w knajpie, i spodobało mi się przedstawienie. Jeśli wataha was pokaleczy, mogą mnie pozbawić przyjemności zaobserwowania czegoś podobnego w przyszłości. Otto, radziłbym ci zwrócić się o pomoc do krasnoludzkiej wspólnoty - chodzi o twoje i Oli życie. Jeżeli wasz Starszy porozmawia z Rektorem, nikt was nie ruszy palcem - nawet ojczulek Lima pomyśli jeszcze raz zanim zwiąże się z krasnoludami.

Otto zamyślił się, targając się za brodę. Przepaść pod moimi nogami zwęziła sie do malutkiego rowku. Kac powoli odpuszczał.

- Miło było spędzić z wami poranek, - Irga ukłonił się elegancko, położył różę na moich kolanach i poszedł sobie.

- Nigdy więcej się tak nie upiję - obiecałam przestrzeni wokół.

....Krasnoludzka wspólnota dość ostro przejęła się problemem naszej nietykalności - nie wiem, co ten Otto im naplótł. Zaprzyjaźniliśmy się z nim. Ojciec Lima zapłacił za

wszystkie szkody. Wataha próbowała stworzyć mi jakieś problemy, ale ironiczne ukłony Irgi na korytarzach Uniwersytetu powstrzymały ich przed aktywnymi działaniami - nekromanta bywa groźniejszy niż krasnoludy.

...A obietnicę złamałam, chociaż święcie przestrzegałam trzeźwości przez całe dwa miesiące...